

manowcach go ścigał nawet! — A teraz nareszcie, nareszcie przystań dla skołatanego serca znalazł.

Przeszkody!? — Czyż mogą istnieć takie, którychby on nie skruszył, nie przełamał? Lub czyż zdolną jest narodzić się taka siła, co byłaby władną oderwać go od kochania, od szczęścia!? Co zdolną byłaby ich rozdzielić?...

Krótkie, energiczne stukanie do drzwi wchodowych przerwało zwierzenia. Pułkownik dźwignął się niechętnie i poszedł otworzyć.

Na progu zadzwoniły hałaśliwie ostrogi.

— Mam honor z dowódcą baterii konnej?...

— Tak!...

— Podpułkownik placu Noffok...

— A... wszak dawny adjutant polowy generała Rautenstraucha...

— Do usług.

— Może podpułkownik raczy pozwolić...

— Dziękuję. Przybywam z rozkazem prezesa Rządu narodowego, generała piechoty, hrabiego Krukowieckiego...

— Prezesa Rządu... Krukowieckiego?!

— Tak jest, polecono mi wręczyć to pismo panu generałowi... i pozdrowić pana generała w imieniu hrabiego generała...

Bem odebrał machinalnie podaną mu kopertę i rzucił okiem na nadpis...

Nadpis, pomimo zmroku — z oślepiająco białej powłoki zawołał doń wielkimi, czarnymi literami: „Do JW. Generała brygady Artylerii Józefa Bema“.

Już żwawy wietrzyk rozświtu hulał ulicami Warszawy, gdy Bem wyszedł z pałacu Radziwiłłowskiego od nowego prezesa Rządu.

Krukowiecki przyjął go pocztwie, serdecznie, z całym wylaniem, niby dawnego towarzysza broni. Uhonorował go, epoletami generalskimi obdarzył... Pani Krukowiecka sama uparła się mu je przypinać a dawne pułkownicze jego na pamiątkę wzięła. — Szczerzy oboje... Mówi się, że niby cała Izba sejmowa na generała go wypromowała!... Lecz żeby nie Krukowiecki, ha, długoby czekał, bo właściwie fawor go spotkał. Chorzeńskiego prawie przeskoczył a Chorzewski, według listy starszeństwa, jeszcze w dwudziestym roku przed nim siedł. A Kółszko? Podpułkownikuje sobie, dragał, załedwie! To się tam Anusia uraduje! Z chudej fary pułkownickiej — dwa tysiące złotych miesięcznie! Hm — miesięcznie! A co dlań osobiście najmiłsze, że siła, siła radości będzie w baterii. Orlikowski, Jabłonowski, Iliński — dwa awanse i krzyż. Pojęcia nie miał, że tak łatwo można tyle wykołatać. Krukowiecki bo po dyktatorsku się bierze. Ład, porządek, agitatorów, mściwołów, cywilów w ryżę chwytą! Chłopi jeno groził a nie trzymał. A ten, miast obiecywać, czyni. Sprawcom mordów nie przebacza. Słusznie, uczciwie! Inaczej, inaczej ranga generalska byłaby wprost męczeństwem, byłaby awansem na ofiarę dla pospólstwa. Strach wspomnieć! Gdzie, od listopada, ilu ich padło z bratobójczej ręki... I jakich żołnierzy, jakich generałów! Hauke, Blumer, Nowicki, Potocki, Staś, Siemiątkowski, Trębicki, Giełgud, Jankowski, Hurtig, Bukowski, Sałacki! Jedenastu!... Winni! A przecież każdy z nich tylekroć razy życie i zdrowie ważył dla tych samych sztandarów, o zdradę których ich pomawiano! A przecież między tymi sprzedawczykami byli ludzie bez skazy, oficerowie dzielni!... Choćby Nowicki a Siemiątkowski a Sałacki! Trudno wspomnieć bez zgrozy, bez lęku przed pomstą niebios! — a tu brak, brak właśnie wodzów, brak generałów... Krukowiecki ma determinację — lecz czy nie zapóźno, czy zdoła, czy wytrwa napór... Prądziński i Dembiński również mówili o opuszczeniu Warszawy!! Krukowiecki słuchać o tem nie chce! Drwi z matematyki, z liczb, z rachunków. — Niestety! — Bem pierwszy rad je sobie lekceważyć, ale w szczerem polu, tam gdzie w odwodzie jest wolny przestwór, gdzie można najgroźniejszego przeciwnika zaszachować, dopiec mu do żywego, zdemoralizować i samemu uniknąć stanowczej, rozstrzygającej bitwy. A tu jakże? Dwie i pół mili cale nietęgich szanów na płaszczyźnie bezbrzeżnej... I, na dobłą sprawę, dwadzieścia pięć tysięcy żoł-

nierza, miast dziewięćdziesięciu! Męstwo, bohaterstwo znaczy — czasem kompanię umie zamienić w dywizję — czasem jednym szwadronem korpusowi zagrozić umie. Ale i męstwo i bohaterstwo zamknięte, dławione, opasane zewsząd giną, nikną, wypełniają własnymi ciałami, moszczą drogi mrowiu nieprzyjaciela.

Sowiński zaprzysiągł, że przystęp do Woli po jego chyba trupie! — Szlachetny zapat — lichy argument. Takoz Bogusławski, Muchowski, legion jest takich niezawodnie. Dziejom znów trupów przybędzie! I cóż z nich, cóż po nich?! Jeden przez drugiego deklarują się umierać, gdy tu żyć, bronić trzeba! — Ale podobno taki zapadł wyrok. Krukowiecki o wymarszu nawet sobie wspomnieć nie pozwala. Jeżeli Prądziński z Dębińskim nie zdołają — ha, to cóż, lepiej milczeć. Poswarów i zamętu i tak dosyć. A w ostateczności najgorsza decyzja warta więcej od chwiania się. Generał Witt przysłał parlamentarza z listem, wzywającym Krukowieckiego na widzenie się z feldmarszałkiem. Rzecz poszła niby o zamordowanie barona Kettlera i szambelana Fans-

cki zapewniał go, że kapitanowa poprostu do dworku może powrócić. Nie, nie podobna. Dla własnego przeświadczenia! Radyby sobie nie dał, gdyby nie był przekonany, że jest bezpieczną. Ukryje ją, tak ukryje, że nikt, nikt krom niego!

We wnętrzu kamienicy, w miejscu, gdzie Krakowskie-Przedmieście z wąskiej gardzieli przechodziło w szeroką ulicę, zamajaczył się Bemowi jakiś skulony cień.

Generał sięgnął do sakiewki i nadchodząc ku cieniowi wyciągnął ku niemu rękę.

Cień na ten ruch generała cofnął się, przyłgnął do muru, jakby zapaść się weń chciał.

Bem przystanął, spojrzał w głąb wnętrza, utworzonego przez szkarpy muru, podpierające kamienicę a rozeznawszy szeroki cylinder i płaszcz dostatni, skłonił się zlekka i odszedł, skonfundowany oczywistą pomyłką.

Lecz załedwie postąpił kilka kroków — tuż za nim rozległ się zdławiony szept:

— Wszak, wszak to pułkownik Bem?

Generał odwrócił się zdumiony.

Cień w cylindrze i płaszczu siedł ku niemu niepewnie.

— A obywatel co za sprawę masz do pułkownika Bema!?

Cień przypadł doń i za ramię go chwycił.

— Pułkowniku, ratuj mnie, jestem ścigany! Krukowiecki nastawił na mnie siepaczy... Byłem do Exnera zdołał, do austriackiego konsulatu...

Bem, oszołomiony znanem mu brzmieniem głosu, ledwie rozumiał, co doń mówił nieznajomy.

Ten poczytał to za wahanie.

— Czatuja na mnie. Ulica do Exnera obstawiona zbirami. Chcieli mnie w pałacu Tarnowskich!... Do oficerskiego honoru pułkownika się odwołuję...

— Lecz... kto... kto pan jesteś?!

— Nie poznajesz że mnie, pułkowniku, nie poznajesz?...

— Generał Skrzynecki!

— Ciszej na Boga! — nadjeżdża patrol... a może oni...

Bema niechęć tknęła do Skrzyneckiego. Lotem błyskawicy przemknęły mu się wspomnienia niedawnych z wodzem rozpraw i dosięgły imienia Jankowskiego! — Wszak ci to Skrzynecki wydał go na śmierć haniebną, on dla ostonienia własnego niedołęstwa Jankowskiego aresztował. — Krukowiecki mu dokumenty pokazał! — Skrzynecki winien. — Tysiące żołnierza zmarnował, on gniazdo szerszeni żywił, on pogrzebał Dęby Wielkie, Iganie, on doprowadził do Ostrołki...

Niespokojne, błyszczące gorączką, oczy Skrzyneckiego padły na epolety Bema.

Wódz wczorajszy zadrzał.

— Pułkownik jesteś generałem! Rozumiem obligacje, składające pana...

Skrzynecki nie zdołał dopowiedzieć, ile że oddział konny, łopoczący dotąd leniwie kopytami w głębi ulicy — porwał się i spadł jak grom przed generalami.

— Kto idzie!? — zawołano surowo z oddziału. Skrzynecki stanął jak wryty. Bem odwrócił się niedbale.

— Cóż do czarta za indagacje!? Forpoczty czy co u licha!

— Taki rozkaz, generale! — odrzekł jeden z jezdnych, wysuwając konia.

— Kapitan Fiszer! Waćpan audytorujesz teraz w patrolu?

— Czasem i tak trzeba.

— Dobrej nocy kapitanowi.

— Sługa pana generała. A obywatel z nim idący?...

— Wraca ze mną od generała Krukowieckiego, jeżeliś ciekaw.

— Najuniżeniej się sumituję!

— Zostawaj waćpan z Bogiem.

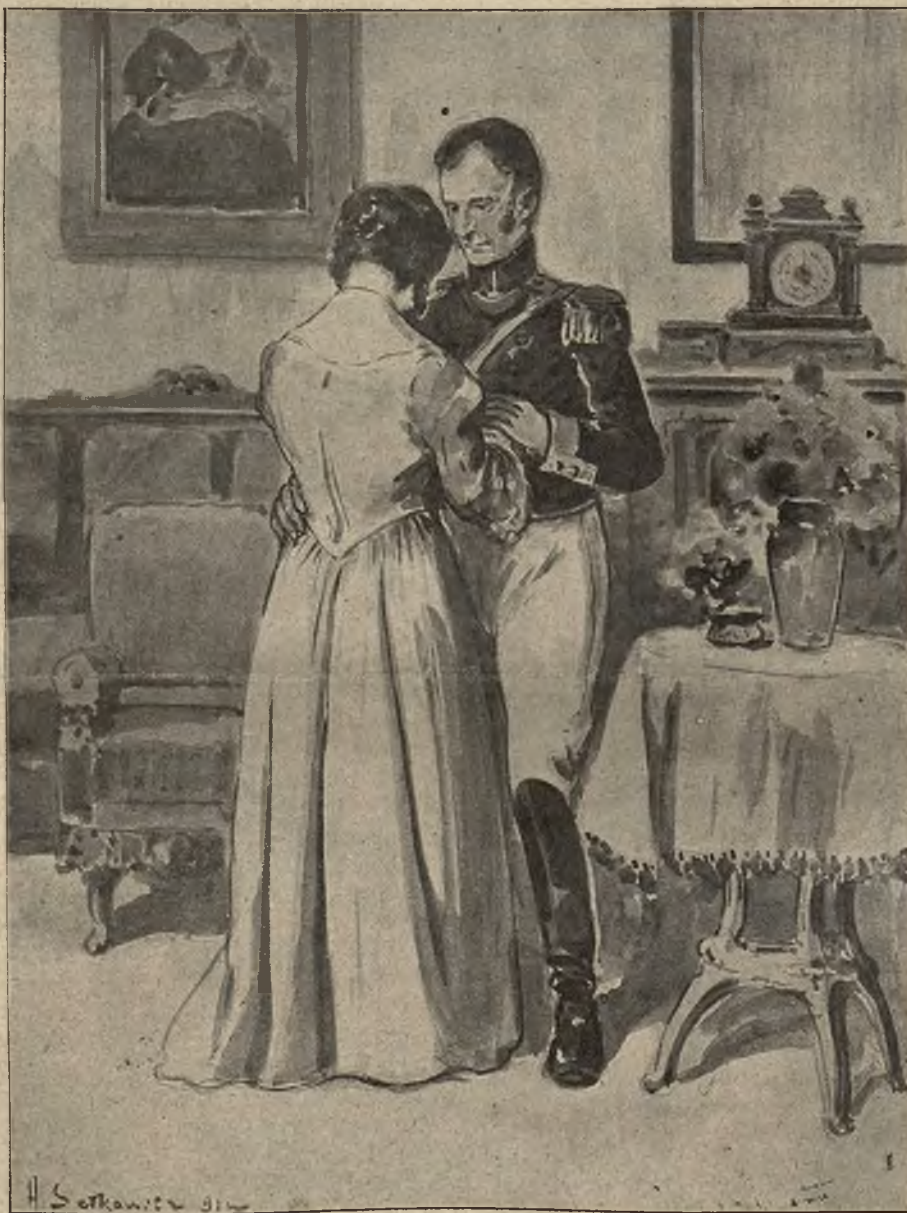
Oddział ruszył naprzód.

Skrzynecki porwał Bema za rękę.

— Generale, ocaliłeś mi życie! Nigdy ci nie zapomnę twej zachości.

— Cale niezastużonej.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Pani Marchocka główkę swą ku ramieniu Bema skłoniła i wybuchnęła płaczem.

have. Krukowiecki przypuszcza w tem ukrytą chęć nawiązania pokojowych układów. Twarde byłyby warunki, ale kto wie, czy za miesiąc, za dwa tygodnie, nie byłoby jeszcze cięższe! — Trudno się z tem oswoić. — Ale jego prawo czuć, działać a nie oglądać się, nie zważać na spodziewania paktów. Krukowiecki daje mu dowództwo artylerii i to całe prawie niezależne od Umińskiego i Dębińskiego, którzy obronę Warszawy mają stanowić! — Żeby jeszcze chcieli zwięzić, ścieśnić linię szanów! Sto redut i lunet! A z nich tylko jedna, na trakcie Kaliskim prawdziwie tęga. Działa forteczne mocnego kalibru — ale ich za mało na przestrzeń. Chyba lotne baterie. Musi, musi zgłębić rzecz. Aby jeno zamknie oczy i do pracy.

Wietrzyk żwawiej musnął po twarzy nowomianowanego generała.

Bem wspomniął na panią Annę i przyśpieszył kroku.

Układła się pewno a może i czeka nań, nadśledzuje odgłosu kroków a drży z niespokojności! Wypadnie mu chyba kogo uprosić, aby sama nie zostawała. Może pani Dzikowska, swojskiego chowu niewiasta — lecz przez ścianę prawie sąsiaduje!... Boć jemu rozmaicie może się wydarzyć. Krukowie-